

KALISZ PO RAZ C



High Definition Quartet: Piotr Orzechowski, Mateusz Śliwa, Alan Wykpiasz, Ken Ychicawa

foto. Henryk Malesa

Tomasz Szachowski

Niewiele jest w Polsce festiwali jazzowych, mogących pochwalić się taką tradycją. Pomysł z 1974 roku, by powstał festiwal (i przy nim konkurs) promujący przede wszystkim pianistów, okazał się strzałem w dziesiątkę, zwłaszcza w kontekście współczesnej polskiej sceny, której ton nadają właśnie pianiści.

I tę tezę potwierdza w spektakularny sposób działalność i twórczość **Piotra Orzechowskiego**, absolwenta Akademii Muzycznej w Krakowie (fortepian klasyczny). Zarówno płyta „Experiment: Penderecki”, jak i album „Hopasa” High Definition Quartet stały się wydarzeniami roku 2013 nie tylko w światku jazzowym. Było bardzo ciekawe, jak 23-letni artysta pokazuje Pendereckiego przed publicznością, w warunkach koncertowych.

Niespodzianka już na samym wstępie solowego recitalu, którym Orzechowski otworzył w piątek 22 listopada ub.r. 40. Międzynarodowy Festiwal Pianistów Jazzowych w Kaliszu. Otóż nie realizuje on z góry założonego programu, układa go ad hoc, mieszając opracowania dzieł Mistrza z własnymi utworami (w czym przypomina postawę Keitha



Bugge Wesseltoft

foto. Henryk Malesa

Jarretta). Jest od samego początku niezwykle skoncentrowany, precyzyjny w doborze środków i stopniowaniu napięcia.

Nie będę wymieniał poszczególnych tytułów, bo układają się one w formę osobistej suity. I nie jest tak, jak chcą niektórzy, że słuchamy Pendereckiego poprzez Orzechowskiego, jest dokładnie na odwrót. Niekiedy paradoksalnie, jak w *Lacrimosie*, która w tym wydaniu odchodzi od martyrologii w stronę bardziej pogodną i zrytmizowaną. Warsztat pianistyczny niebawym! Elektryzujące repetycje, nuty peda-



Piotr Orzechowski ze statuetką dla Nadziei Melomanów 2012

foto. Henryk Malesa

rozpisanie przez Piotra Orzechowskiego cyklu na kwartet jazzowy. Rozpoczął ten koncert fortepian solo krótkimi powtarzającymi frazami, odniosłem wrażenie jakby świadomego zmierzania w stronę minimalizmu, nawet wtedy, gdy dołączył zespół. Zapamiętałem jeden z utworów z wiodącym kontrabasem w niełatwej partii toczony także pianissimo. Do tego pięknie brzmiący saksofon Mateusza Śliwy i bogate rytmicznie, choć nieagresywne bębny. Warto przyjrzeć się *Bukolikom* w tym arcyciekawym opracowaniu i wykonaniu. Czekaemy na płytę!

Norweg **Bugge Wesseltoft** to postać dobrze znana w Europie, partner takich artystów jak Nils Petter Molvaer czy Eivind Aarset z kręgu nu-jazzu, w dorobku ma także współpracę z Terjem Rypdalem i Jonem Christensenem. Przywiózł do Kalisza dwa programy – standardowy na fortepian solo (patrz album „Songs”) i eksperymentalny na

we, gradacje dynamiczne od ledwo słyszalnego pianissimo po grzmoty fortissimo, preparacje, kontrapunktowanie, improwizacja. Arsenał użytych środków rzadko spotykany w jazzie, wymagający zapewne jeszcze przemyślenia, a może nawet selekcji i samoograniczenia.

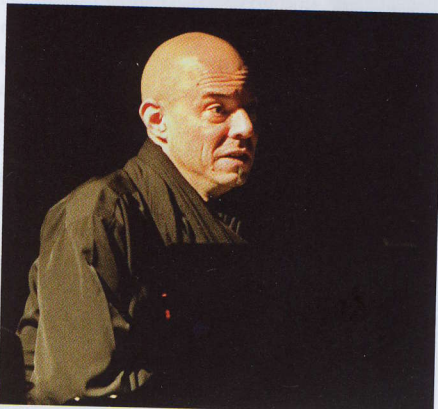
High Definition Quartet zaskoczył słuchaczy zmianą repertuaru, w miejsce utworów z albumu „Hopasa” usłyszeliśmy *Bukoliki* Witolda Lutosławskiego (cykl w oryginale napisany na fortepian potem opracowany przez kompozytora na altówkę i wiolonczelę). Opracowanie zostało zamówione przez jeden z festiwali włoskich, ale do pierwszego wykonania doszło ostatecznie w Polsce, być może dojdzie także do rejestracji płyty.

W Kaliszu po raz pierwszy z zespołem zagrał na perkusji w miejsce Patryka Dobosza Peruwiańczyk Ken Ychicawa. I znów – inna poetyka, wyraźny ukłon w stronę Lutosławskiego, ale podobnie wyjątkowa koncentracja, precyzyjne wykonanie i – co może najważniejsze – wzbudzające respekt

ZTERDZIESTY!

fortepian elektryczny, laptopy i elektronikę. Wydało się przez chwilę, że zabrzmi jakaś kombinacja tych pomysłów, ale ostatecznie to były praktycznie dwa osobne występy.

Bugge w wersji „standards” celebrytuje poszczególne utwory tak, jakby to były sonaty Mozarta. Proszę sobie wyobrazić *Giant Steps*, *My Foolish Heart*, *Moon River*, *Like Someone in Love* w wersjach podstawowych, więcej niż skromnych,



fot. Henryk Malesa

Nik Bärtsch

praktycznie bez improwizacji, w dużej części ad libitum. I potem, po wyraźnie zamierzonej przerwie, zupełnie inny świat dźwięków, bynajmniej niestandardowy. Laptop, elektronika, kilka uruchomionych groove'ów, przestrzeń, stopniowane zwolna napięcie. Eksperyment ciekawszy niż część pierwsza, choć problematyczny, gdy chodzi o idiom jazzowy. Ten problem dotyczy zresztą moim zdaniem całego nu-jazzu, w którym chyba bardziej chodzi o koncepcję, wręcz o stworzenie nowego gatunku, nowego brzmienia, niż o ciągłość z tradycją jazzu, cokolwiek by ona oznaczała. Ale ta atrakcyjna dźwiękowo druga część bardzo się podobała i Bugge Wesseltoft z przyjemnością bisował, przywołując zaskoczonym słuchaczom brzmienia egzotyczne, np. quasi-indonezyjskiego gamelanu. Jego elektroniczne pomysły z pewnością mają przyszłość przed sobą.

W finale pierwszego dnia wystąpił szwajcarski zespół **Ronin**, założony i prowadzony przez pianistę **Nika Bärtscha**. Grupa występuje na całym świecie, zbiera świetne recenzje („The Wall Street Journal” w 2011 roku zaliczył występy Ronina do najlepszych w roku obok m.in. Radiohead, Björk i Patti Smith!) i ma na swym koncie sporo płyt, w tym cztery krążki wydane przez ECM.

Przygotowałem uszy na komplikacje rytmiczne, bowiem Ronin słynie z polimetrii, polirytmi, metrów złożonych i podziałów transowych. I rze-

czywiście, utwory budowane są na bazie prostych struktur rytmicznych, wręcz sygnaturek, najpierw powtarzanych w kółko, potem komplikowanych poprzez wprowadzanie nowych wątków rytmicznych. Ale nie trzeba było się zbytnio wysilać, by policzyć do 7, 9, 11, czy 13-tu, bo w gruncie rzeczy ukrytym, ale w końcu rozpoznawalnym wspólnym mianownikiem dla większości utworów był podział parzysty, który stwarzał zapewne poczucie bezpieczeństwa grającym.

Nie chcę przez to powiedzieć, że pomysł był nijaki, bo dla publiczności obcującej na co dzień z rockową rytmiką takie pojmowanie i realizowanie rytmu stanowi bardziej wymagającą wyższą półkę, ale dla koneserów jazzu, którzy niejedno słyszeli to grubo za mało. Bo nie jest istotne przyjęte metrum tylko to, jak go zagospodarują improwizujący muzycy. Tymczasem Ronin nie zachwycał ani solowymi improwizacjami, ani jazzowym timingiem, choć sam pomysł uruchamiania na dłuższych przestrzeniach swoistego „perpetuum mobile” może się podobać, o czym świadczy nadzwyczajna popularność grupy.

Sobotni koncert rozpoczął zamieszkały od wielu lat w Austrii 58-letni Amerykanin **Peter Madsen** ze swoim **CIA** (Collective of Improvising Artists) **Piano Trio**. Hasło CIA określa nie tylko ten, ale też inne zespoły działające wg projektu i pod edukacyjnym okiem Madsena, który ma za sobą sporo doświadczeń, znaczących



fot. Henryk Malesa

Peter Madsen's CIA Piano Trio: lider Herwig Hammerl i Alfred Vogel

współpracą z takimi gigantami, jak Stan Getz, Benny Golson, Don Cherry, Stanley Turrentine, czy Kenny Garrett.

No i było czego posłuchać! Madsen przekonująco swinguje, stosuje bogatą paletę środków

harmonicznych, w dynamice, w budowaniu napięcia przypomina nieco McCoy Tynera. W tej pianistce panuje symetria, porządek i wręcz klasyczna równowaga, Madsen nie przesadza w żadnym momencie z ekspresją, a jego kompetencja od pierwszych chwil zjednuje mu prawdziwych fanów i znawców jazzu. Partnerzy – Herwig Hammerl na kontrabasie i Alfred Vogel na perkusji – wywiązali się ze swego zadania znakomicie. I ciekawostka! W programie rzadko dziś przywoływane swiste „standardy” z lat 50., czyli jazzowe wersje piosenek śpiewanych przez Elvisa Presleya, jak *Surrender* (*Wróc do Sorrento*), *Don't Be Cruel*, czy *Hound Dog*. Świetny koncert.

Wątek wspomnień legł także u podstaw najnowszego programu **Jana Ptaszyna Wróblewskiego** „Moi pierwsi mistrzowie: Komedą-Trzaskowski-Kurylewicz”. Spośród czynnych muzyków jazzowych Ptaszyn jest jednym z nielicznych mogących odpowiedzialnie podjąć taki temat. Grał w zespołach z każdym z „wielkiej trójki” (wszyscy byli pianistami!), znał ich z najróżniejszych sytuacji jak mało kto, znał też bardzo dobrze ich jazzową twórczość.

Do realizacji tego niezmiernie ważnego dla polskiej sceny programu zaprosił Henryka Miśkiewicza (as), Roberta Majewskiego (tp, flg), Wojciecha Niedzielę (p), Sławomira Kurkiewicza (b) i Marcina Jahra (dr). Zabrzmiały po kolei: *10+8* Kurylewicza, *Szara kołoda* Komedy, *Better Luck Next Time* Trzaskowskiego, *Taniec wujka* Kurylewicza, ballada z filmu „Dwaj ludzie z szafą” Komedy, *Vision* Trzaskowskiego i na bis *Astigmatic*

Komedy. Każdy z utworów poprzedzony komentarzem Ptaszyna, który przypominał postaci swoich mistrzów i przyjaciół takimi, jakie one były, bez koloryzowania i mitologizowania. Komedą w tych opowieściach daleki był od ideału, a współ-



fol. Henryk Malesa

Jan Ptaszyn Wróblewski Sextet: Wojciech Niedziela, Ptaszyn, Robert Majewski, Sławek Kurkiewicz, Henryk Miśkiewicz, Marcin Jahr

praca z nim często nie była łatwa, swoje słabości miewali również i Trzaskower i Wujko Kuryl. Aranżacje Ptaszyna jak zwykle przewrotne (*Szara kołęda* – ani szara, ani kołęda!), ale też podkreślające cechy stylu każdego z autorów przypomnianych utworów.

Sextet w roli mini-orkiestry idealnie nadaje się do tego typu prezentacji, gdzie dobrze brzmi zarówno combowy *Taniec wujka*, jak i orkiestrowy *Better Luck Next Time*. Z wyraźnym podziwem (i zaskoczeniem!) publiczność odkrywała piękno

szych i najważniejszych występów polskich muzyków, jakie słyszałem w ostatnich latach.

W finale koncertu sobotniego wystąpili w duecie **Lynne Arriale** i **George Cables**. Spotkali się specjalnie na ten występ i pierwsze próby odbyli już w Kaliszu. Lynne Arriale jest tu dobrze pamiętana ze zjawiskowego koncertu w trio w 2002 roku. Sposób, w jaki w swoich improwizacjach prowadzi kantylenę, zbliża ją do muzyki klasycznej, od której rozpoczynała edukację. Z kolei George Cables należy do żelaznej reprezentacji pianistów, którzy w latach 60. i 70. tworzyli mainstreamową orbitę nurtu straight-ahead jazz u boku wielkich liderów. W wypadku Cables'a byli to m.in Max Roach, Sonny Rollins, Joe Henderson, Freddie Hubbard, wreszcie Dexter Gordon, z którym przyjechał na Jamboree do Warszawy w 1978 roku. Arriale i Cables to zatem dwa spojrzenia na jazz, różne doświadczenia i odmienna wrażliwość.

Program ułożony był wysmienicie – m.in *More*

That You Mean, Someday My Prince Will Come, My One and Only Love, Bemsha Swing, wreszcie *Round Midnight*. Ona – uważnie słuchająca, w większym stopniu dopowiadająca i komentująca, On – nolens volens – pozostał w roli, jaką mu wyznaczyły leksykony i encyklopedie jazzu. Oboje rzucili na szalę swe umiejętności i masę pomy-

słów, z których dałoby się ułożyć nie jeden, a dwa lub trzy recitale. Ten duet stał się wręcz symbolicznym, bardzo mocnym akcentem jubileuszowego festiwalu.

Niedzielny występ **Tria Andrzeja Jagodzińskiego** był okazją do wspomnień i świętowania trzech jubileuszy, 60-tych urodzin lidera, 20-tej rocznicy powstania tria i 70-tych urodzin Czesława Bartkowskiego! Zapewne nikt w 1993 roku nie przypuszczał, że przygoda tria (na kontrabasie niezmiennie Adam Cegielski) z muzyką Fryderyka Chopina będzie trwała tak długo i stanie się wręcz sposobem na życie dla muzyków, którzy z chopinowskim repertuarem zjeździli pół świata. Zabrzmiały więc te opraco-



fol. Henryk Malesa

Andrzej Jagodziński

wania, które dobrze znamy z płyt, m.in *Preludium e-moll, Etiudy h-moll op. 25, Nokturnu Es-dur op. 9, Walca Des-dur „Minutowego”* i na bis *Nokturnu H-dur op. 9* (znam osoby, które te utwory w większym stopniu kojarzą z wykonaniami tria, niż z chopinowskimi oryginałami!).

Andrzej Jagodziński spośród wszystkich polskich pianistów nadal świadomie i konsekwentnie rozwija tradycję chopinowską na gruncie jazzu, czego przykładem jest choćby prawykonany w Filharmonii Narodowej po koniec listopada 2013 jego *Koncert fortepianowy g-moll*, inspirowany Chopinem.

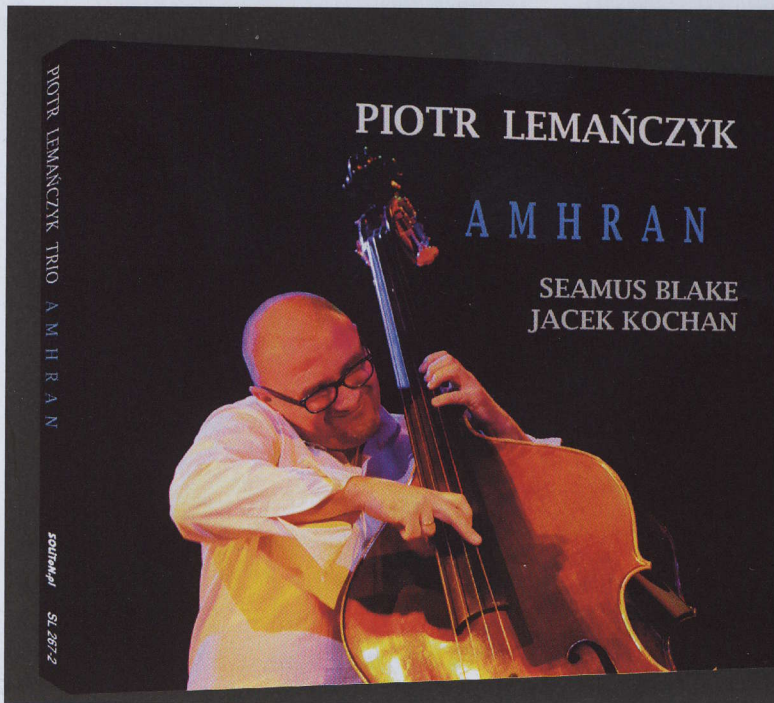
Na tradycję chopinowską powołuje się także **Adam Makowicz**, którego występ w Kaliszu miał znaczenie sentymentalne i symboliczne, bo grał tu przecież w 1974 roku na pierwszym festiwalu i w dodatku był członkiem jury pierwszego konkursu. Co ciekawe, Makowicz jako jeden z nielicznych na współczesnej scenie światowego jazzu,



fol. Henryk Malesa

Lynne Arriale i George Cables

i kunszt przypomnianych kompozycji. Muzycy zagrali na maksimum swoich możliwości a ja, przyłączając się do pochwał, chciałbym szczególnie podkreślić jakość pianistyki **Wojciecha Niedzieli**, który buduje swą klasę nadzwyczaj konsekwentnie w oparciu o kluczowy idiom jazzu, na jaki składają się timing i improwizacja. To był jeden z najlep-



... "I love your new CD. "It is hard to play saxophone, bass and drums without being very dry sounding but this CD pulls it off. The songs all have a hook and atmosphere that grabs you.

Piotr is such a powerhouse on bass and makes it so clear, leaving the perfect amount of space. Jacek is back there coloring everything that is being put together while Seamus (one of my favorite new tenor players) is flawless. His solo's have such great pacing, time and maturity.

He captures tradition while being open and free. A must listen."

Jerry Bergonzi

wskrzesza również tradycję amerykańskiego standardu i to w formie tradycyjnej, a więc bez ekstrawagancji i harmonicznym uduwieniem, choć we własnych, łatwo rozpoznawalnych ujęciach. No i ten sprawdzony wielokrotnie plan energetyczny, jakże prosty i jakże efektowny! Rozpoczyna wolno i spokojnie, wręcz ad libitum, stopniowo przyspiesza i w jakimś momencie wrzuca najwyższy bieg w improwizacjach prawej ręki, ot tak, en passant, by z niezmiennym uśmiechem na twarzy zakończyć lapidarną, dowcipną kodą. W programie encyklopedia standardów – *Someone to Watch Over Me, But Not for Me, Fascinating Rhythm, Misty, It's All Right with Me, My Funny Valentine,*

Speak Low, Just One of Those Things plus jedno z chopinowskich preludów i „autobiograficzny” *Living High Manhattan*. Owacja i kilka bisów.

Wreszcie finał i na estradzie **Karen Edwards** z polskimi muzykami – Robertem Majewskim (tp), Adamem Kowalewskim (b) i Adamem Czerwińskim (dr). Nadeszła chwila, by wspomnieć zmarłego we wrześniu Jarka Śmietanę, który dla polskich fanów odkrył tę amerykańską artystkę



fot. Henryk Malesa

Karen Edwards

i zaprosił na nagrania i koncerty do naszego kraju. Karen nie powieli wokalnych schematów, jakie zostały wypracowane w przeszłości. Jej repertuar zresztą wybiega poza jazz, a sam gatunek głosu i sposób intonacji (zwłaszcza wibrato) wywołuje skojarzenia z musicalem, a nawet operą. Stylowo gra na fortepianie (tradycja gospel?) i tworzy wyjątkową atmosferę wydarzenia, którego jest główną aktorką. Ma też coś swojskiego i nieoficjalnego w sposobie bycia, co zapewne wynika z częstych kontaktów z polską publicznością.

To w dużym stopniu zasługa nieodżałowanego Jarka Śmietany, który kipiał od pomysłów

związanych także z obsadami nowych zespołów i niewykluczone, że miałyby to wpływ na dalszą karierę Karen Edwards. I tak siłą rzeczy ten finałowy koncert ułożył się bardzo „po polsku”, co naturalną klamrą zwieńczyło 40 lat Międzynarodowych Festiwalu Pianistów Jazzowych w Kaliszu. To ważny festiwal ze względu na obecny poziom polskiej jazzowej pianistyki. Jeszcze nigdy w historii nie mieliśmy tak wielu, tak utalentowanych, tak wszechstronnych i jednocześnie tak różnorodnych stylistycznie pianistów. Kalisz jest potencjalnie najlepszym forum dla ich prezentacji.

Tomasz Szachowski



fot. Henryk Malesa

Adam Makowicz